

## „SZKOŁA PRZETRWANIA OD NAJMŁODSZYCH LAT

Niekoniecznie przykazania ani dogmaty, ale coś w rodzaju powinności zrodzonych i utrwalonych przez odwieczną mentalność kolejnych plemion, chętnie i z lubością rozmnażających się w przeszłości, nie tylko na polanach i w niezbyt bagnistych kniejach i w borach pełnych dzikiego zwierza i ptactwa, a także innej pełzającej lub pływającej napraszającej się do spożycia gadziny kształtowały się plemiona ludzkie. Hartowały w walce o swą egzystencję w czasie krótkiego, przeważnie zafajdanego po uszy i nigdy nie nasyconego według potrzeb swego życia, gotowego do jego utraty na rzecz pożarcia przez jakąś żywą istotę, na którą same nieprzerwanie czyhały lub mordowały przez inne wrogie mu plemię – nazywające się w swej młodości Polanami.

Tak w skrócie można by określić warunki dorastania na Polesiu ludzi (historycznie rzecz biorąc) i pokolenia autora tych myśli. Nie tylko sprzyjały ale wręcz wymuszały one bardzo wczesne „dojrzewanie” i dostosowywanie się do nich. Do nabywania umiejętności praktycznych zachowań stosownie do zmieniającej się sytuacji. Nie przestając bycia dzieckiem czy подростkiem zmuszało się do myślenia kategoriami ludzi dorosłych. Praktycznie uczestniczyło w wykonywaniu ich działań. Do walki o własne życie i oddanych mu pod opiekę innych żywych istot. Przy opisie ówczesnego Polesia chciało by się nawiązać do podkreślonego przez autora Czarza Polesia Pana Jerzego Artura Kosteckiego w cudownej piosence "Polesie". Do tych trudnych warunków egzystencji, bardzo niełatwych przeżyć a tak ówczynie kochanych przez dorastające dzieci i wydających się najlepszymi z możliwych, tam i wtedy ledwie osiągalnych i nigdy nie zaspokojonych chociażby w minimalnym zakresie podstawowych potrzeb życiowych. Polesia Czar to dzikie knieje moczary( ...) jeszcze dziś wywołują "pocenie się oczu". Chciało by się je pisać wyłącznie wielkimi literami.

Zasłyszane opowieści z przeszłości przyjmowało się jako pewniki, prawdę historyczną lub religijne dogmaty. Prowadziło to do niesprawiedliwych uproszczeń. Jeżeli więc szatan pod postacią węży skusił Ewę – Pramatkę, przez co zlikwidowano raj na ziemi, to waż jest złem. Winien więc ponieść karę. Trzeba go zabić. Bez względu na jego wygląd i grację poruszania się oraz nieszkodliwość – ukatrupić. A tego rodzaju zwierząt było bardzo dużo. Więc ledwie smark odrósł od ziemi, szukał kija i je zabijał jeśli tylko mógł. Gdy pomyślę dziś ile, tych niewinnych stworzeń mogłem uśmiercić, to włosy na głowie stają dęba i płakać się chce. Bo po co, dlaczego? One nikomu nie wadziły, nie przynosiły żadnej szkody. Jedynie żmija jest jadowita, ale kąsa tylko w obronie własnej (np. przy nastąpieniu na nią bosą nogą). Mam z tego powodu paskudne ale uzasadnione wyrzuty sumienia. Zwłaszcza, że pasając bydło w lesie uczestniczyłem we współzawodnictwie z innymi o największą liczbę zabitych węży. To powinno zawstydząć ten wytwór „na obraz i podobieństwo” za bezzasadne zabijanie innych współgospodarzy naszej „Błękitnej Planety”. Gdy najbardziej krwiożercze zwierzęta zabijają inne jedynie dla zaspokojenia głodu. Gwoli sprawiedliwości to zabijanie „złego” nie dla przyjemności. Trzeba było przełamać obawę przed możliwością bycia ukąszonym i wyzbicia się odrazy wstrętu powszechnie potępianego grzesznego gada. Była więc w tym doza odwagi, którą taki bąk nierzadko musiał okazywać przy rzucaniu się z kijem na wilki podchodzące do chronionego przezeń bydła (zwłaszcza owiec), albo odbierania od wilka porwanej sztuki. Pędząc za nim z odpowiednim krzykiem bojowym „aha wouka” i z sterczącymi włosami (chyba z podniecia połączonej ze strachem). Do takiej reakcji pastuszka włączało się całe stado. Nieznana mi jest przyczyna stosowania obcego języka wobec zwierząt, zwłaszcza w sytuacjach konfliktowych.



Przechodzenie do narzeczy z tutejszej mowy białoruskiej, gdy w domu rozmawiano wyłącznie po polsku. Oczywiście też znając język miejscowy białoruski powszechnie stosowany w kontaktach z "mniejszością" białoruską oraz z nieznajomymi. Jakoś automatycznie do wilka z nieodstępnym kijem pędzono i krzyczano "aha wouka" zamiast "aha wilka". Brzmiałym bardzo podobnie. Do niesfornego bydłęcia wołano „ kab ty zdochło”, czy „kudy pieresta”, zającą "pozdrawiano" zajca za jajca itp. W zasadzie polskich brzydkich, jak byśmy dzisiaj powiedzieli niecenzuralnych słów nie stosowało się. Automatycznie przechodziło się na język obcy "j... twoju mać" itd' wydawało się to mocniejsze, a zatem skuteczniejsze bez wchodzenia w sensowność. Często bez rozumienia znaczenia wypowiedzianych słów. Ale nikt z nas nie przechwalał się znajomością języka. Nikt też o to nie pytał. Mała dygresja jeszcze o węzach. Ostatniego uśmierciłem bardzo niechętnie w Kokiutubie na usilną prośbę zaprzyjaźnionej kozachskiej rodziny. Nie mogła ona wrócić do swojej kibitki, w której zadomowił się "dżyłan" (wąż). Zbiegli się "barłyk adamler jekeńczy brygad" (wszyscy członkowie drugiej brygady), ale nikt z nich nie śmiał zbliżyć się do tej kibitki. Najpierw żartowałem że również się boję, ale uległem prośbie. Gdy go wynosiłem na patyku, wszyscy odbiegli jak najdalej. Myślę że z tym rekwizytem mogłem wówczas rozpedzić "barłyk kałchoższyłar" (wszystkich kołchoźników) na cztery wiatry po całym stepie razem z ich "bascharmą" (przewodniczącym) kołchozu.

„Polesie” to nazwa w owym czasie niekonsekwentna, wskazuje bowiem stan przyszłościowy (po lesie), określa aktualny stan czyli istniejący około 80 lat później. Wówczas istniały tam znacznie większe masywy leśne, knieje pełne dzikich zwierząt i ptactwa od drobiazgu ptasiego do głuszców, żurawi czapli od drobnych zwierzątek do dzików, jeleni, saren, wilków. Kraina bagien, trzęsawisk, rzek i jezior rybnych oraz zwierząt lądowo-wodnych jak bobry i wydry. Zalewanej przy wiosennych roztopach i jesiennych wylewach rzek. Do niektórych miejscowości można było dojechać zimową porą po zamarznięciu wód i tylko podczas suchych lat. Dlatego uniwersalnym obuwie całorocznym dla przeciętnego Poleszuka były łapcie. Komunikacja była utrudniona i okresowo niebezpieczna (zamarzanie i topnienie lodów).

Niewielka rzeka Cna dopływ Prypeci, rokrocznie zalewała jesienią i na przedwiośniu duże obszary bagnistych łąk. Odwiedzanie niby sąsiednich osad mogło odbywać się łódką. Zamarzała ona (głęboka woda o przyspieszonym nurcie) znacznie później niż wolno płynące płytkie wody nadłączne. Można więc było omyłkowo znaleźć się na jej słabym lodzie i wpaść w jej nurt. Doświadczyłem tego praktycznie ratując towarzyszącego mi psa Bukieta pod którym załamał się lód. Pomogłem mu wydostać z wody i sam się też skąpałem. Obydwaj to odchorowaliśmy.

Dziwiono się, gdy nauczyciele w szkołach (najczęściej czteroklasowych) organizowali koła Ligi Ochrony Przyrody. Po co tym zawracać dzieciom głowę, przy tak bogatej roślinności oraz świecie zwierzęcego. Przecież tego nigdy nie zabraknie mówiono. Odpowiedzi, że było to rozumowanie fałszywe udzieliło życie po około 80 latach. Warto wskazać na fakt, że wówczas każdy pastuch i pastuszek uważał za sprawę honoru posiadanie fujarki. A z praktyki wiem że wykonanie fujarki przez niewprawnego twórcę wymagało zniszczenia kilku 8-10 letnich sosenek. Ubytki więc w przyroście drzewostanu mogły być b. znaczne. Z tego powodu przejąłem się ochroną przyrody i stałem się jej gorącym zwolennikiem. Drugą moją organizacją społeczną był Polski Czerwony Krzyż (PCK). Dumnie nosiłem przyszyty do bluzki guzik własnoręcznie obszyty białym płótnem z wyszytym też czerwonym krzyżem.

Przypadki z wodą zarówno dobre, jak i mniej przyjemne zdarzały się na porządku dziennym – zwłaszcza dla ludzi w wieku 7 – 10 letnim. Sprzyjały temu przyzimowe rozlewiska kiedy się pływało łódką. Prawie najmłodszy, ale wiadomo „mężczyzna” inicjowałem różne doświadczenia. Na przykład jak się zachowa łódka gdy płynąc (na szczęście nie rzeką), wszyscy czworo znajdziemy się na jednym z jej końców. Oczywiście zanurzył się on w wodzie, a moje



starsze siostrzyczki zareagowały po damsku. Zamiast przerwać eksperyment, wyskoczyły do lodowatej wody, sięgającej powyżej pasa. Następstwa nie skończyły się na zamoczeniu i zaziębieniach. Osobiście pozostałem w łódce, ale skoro moja inicjatywa okazała się winą więc musiała być i kara. Mimo pewnych wątpliwości, korciło dlaczego rozwiązanie tej kwestii pozostawiono losowi. Z dobrodziejstwa wylewu Cny, cała nasza rodzina skorzystała w 1934 roku podczas przenosin z gajówki Wareniszczce do Ławskich znajdujących się po drugiej jej stronie w odległości około 3 kilometrów. Zaś „suchą drogą” przez Hancewicze około 23 kilometry. Ojciec z Lonkiem wykorzystał nadające się stare bale z rozwalonej starej stodoły na zrobienie tratwy.

Tratwą tą przewieziono kilkoma „rejsami” cały nasz nędzny dobytek do kolejnego miejsca postoju. Z wyjątkiem inwentarza żywego (klacz w zaprzęgu, krowiny, świnki, owce, gęsi i kury] oraz pies Bukiet, który jeszcze upomni się o wspomnienie swoimi czynami. Była to znacznie łatwiejsza niż zapamiętana zimowa przeprowadzka przed kilku lat chyba do Koniek. Wtedy to z wywróconych sań wpadłem do głębokiej zasy pyłnej i zagubiłem się. Potem nieprzyjemne rozcieranie śniegiem małego człowieka.

Wareniszczce to gajówka wśród lasów i bagien leżąca na wyspie. Charakteryzowała się bardzo częstymi wizytami nie tylko nocnymi, wilków starających się o łupy wśród zwierząt domowych. Współwłaściciel majątku (prawie 2000 ha lasów i łąk) sprzedawał wypas kilkudziesięciu sztuk bydła od wiosny do jesieni, stacjonującego w zagrodzie przy gajówce. To też prowokowało drapieżców. I tu ważna rola Bukieta, który wyczuwał je z dużej odległości. Ujadał ostrzegając przed nimi. Jeżeli nikt nie wychodził z mieszkania, stukał łapami w okna. Ojciec w nocy wychodził i nierzadko odpędzał bestie strzałami z rewolweru. W Ławskich, Bukiet zaś zwykły czarno-biały kundel wsławił się tym że spaskudził rasę myśliwskich psów p. Korczyca zakradając się do Lutni (suka) w czasie cieczi, fabrykując Pikowi (pies) bardzo urozmaicone potomstwo. Korczyk bardzo gniewał się obiecując zastrzelenie. Uwiązanie go na łańcuchu nie pomagało – potrafił uwolnić się z każdego uwiązania. Konstrukcja jego głowy i szyi bardzo to ułatwiała. Nieobce mu były też inne sprawki jego gałęzińskiego charakteru. Na czas sianokosów przyjeżdżało wielu ludzi w celu zebrania zakupionych traw, na cały okres akcji, trwający w zależności od pogody czasem dość długo. Mieszkali w szałasach i przechowywali w nich zapasy żywnościowe. Oczywiście on gustował wyłącznie w wyrobach mięsno-wędliniarskich (kasze, groch, mąka, warzywa jego nie interesowały.) Nierzadko więc samowolnie dzielił się w sposób niewidzialny niemal przy obecności gospodarzy. Roznoszone przez niego opakowania z takiej kradzieży (w tym gładkie metalowe garnki) znajdowano później w niedalekich zaroślach lub w żętych zbożach.

Przeżycia związane z wodą były urozmaicone. Spędzanie dużej części dnia w wodzie mokradeł i bagien narażało na masowe wpijanie się w ciało pijawek, występujących tu masowo. Niezauważalnie bo bezboleśnie. Trzeba było to znosić przez kilka dób (tyle trwało napicie się naszej krwi.) Zdejmowanie ich często nie udawało się,

Obecność rzek (niezapomniana Cna, Łań, Szczara, Słucz, Jasiołda) prowokowała do pływania, a z tym należało sobie radzić osobiście. Robiło się pływaków z wianuszków sitowia i uczono się do skutku. Mnie udało się więc „uczyłem” Tosię (młodsza siostra) i niewiele brakowało do tragedii. Na szczęście skończyło się na nadmiernym napiciu się wody, niezbyt czystej, (ale nieskażonej żadnymi chemikaliami jak wody doby dzisiejszej).

Na takich bagnistych gruntach szybko rosną krzaki łoży, mające niepośledni wpływ na życie mieszkańców nie tylko gajówek. Łoza stanowiła surowiec na powszechnie wykorzystywane obuwie czyli łapcie, zwane też „postołami”. Wszyscy podrastający chłopcy musieli nauczyć się sztuki ich wytwarzania. „Zaletą” ich była krótkotrwałość, nie podlegały reperacji więc chodziło się prawie zawsze w nowym obuwiu na każdą pogodę i na każdą drogę.



To że chłopcy, nie świadczy bynajmniej że są oni mądrzejsi od dziewcząt. Do wypłatania postolów potrzebny jest scyzoryk, a nie każdego stać na jego kupno. Ponadto scyzoryk był traktowany jako inwestycja na wiek dojrzały jako broń odstraszająca przed ewentualnymi napastnikami (i nie tylko), co wśród dziewczyn nie było w modzie.

Mieszkając w Ławskich nierzadko udawaliśmy się za Cnę do znanych uroczysk wareniszczowskich na jagody, grzyby, orzechy laskowe (oczywiście nielegalnie). Pewnego razu wybrałem się tam tylko z Tośką. Lato było gorące i nic nie wskazywało na zmianę pogody. Niespodziewanie nadleciała czarna chmura, rozpętała się burza z ulewnym deszczem i niesamowitymi wyładowaniami atmosferycznymi. Wiedziałem że pioruny biją w najwyższe drzewa a wokół nas były właśnie tylko takie („wielki” już 9-letni ja i 6-letnia siostra).

Uciekaliśmy więc na otwartą przestrzeń (łąka), gdzie wszystko jest widzialne błyskawice, pioruny walące też w wodę. Straszne, przerażające to widowisko. Słaba wystraszona dziewczynka ledwie mogła iść po przybierającej wodzie. Czuję się odpowiedzialny za to. Tak prowadzi truteń smutka za rękę i nabożnie modląc się. Żałowałem że nie zostaliśmy w lesie pod jednym z gęstych świerków dla przetrwania burzy.

Jak zwykle o wschodzie słońca wypędziłem bydło i owce (ach te ranne wstawania) na bagnistą łąkę. Pełnia lata, brak jakichkolwiek oznak zmiany pogody. Po pewnym czasie usłyszałem narastający szum-huk od strony serwitutowego lasu Dobraje. Nadleciała ciemna chmura z grzmotami -błyskawicami-piorunami. Pierwszy podmuch wichru zwałił mnie z nóg wystraszone zwierzęta rycząc i becząc popychane gwałtownymi podmuchami wiatru ruszyły w kierunku Cny. Przeciwdziałając biegałem ukosami przed zwierzętami, aby je powstrzymać. Obawiałem się aby nie powpadały do rzeki, bo słabsze sztuki mogłyby utonąć. Obawiałem się też wykorzystania okazji przez wilki i porwania owiec. Wyjątkowo silny huragan nie trwał zbyt długo i skończyło się na strachu. Już „duży” chłopak bo spełnił zadanie i przeszedł jeszcze jedno doświadczenie. Burze tu przechodziły dość i bardzo gwałtownie, głośno i strasznie (może to tylko w wyobraźni dziecięcej). Niekiedy powodowały szkody. Ochrona przed ich skutkami na prowincji była żadna. Jedyne co było dostępne, to rodzinna modlitwa do Matki Boskiej Gromnicznej i zapalenie świecy. Pomagało to oczywiście na uspokojenie nerwów i własne przekonanie o przeciwdziałaniu nieszczęściu. Tam też można było (dość często) zauważyć namiastkę tornada przeważnie w skali mikroskopijnej, rzadziej wyraźnie zauważalnej, jako inne zjawisko nieznane. Zdecydowanie pokazowe z spowodowaniem znacznych szkód w okresie sianokosów zaistniało chyba w 1934 czy 1935 roku. Kopy zebranego siana wirujący wiatr uniósł bardzo wysoko i rozrzucił po całej łące w pasie swego przesuwania się. Powszechnie przypisywano to wyższej sile, oczywiście „nieczystej”, wymagającej ingerencji Najwyższego.

Ochrona dobytku domowego to etap wchodzenia do normalnej użyteczności każdego młodego człowieka. Zaczyna się od pilnowania na podwórku ptactwa domowego (zwłaszcza piskląt) przed atakami jastrzębi, występujących tam masowo. Następny etap to wyższy stopień wtajemniczenia czyli pasienie bydła i owiec połączone z ochroną ich przed wilkami. Na naszych ówczesnych terenach tych rabusiów było wystarczająco dużo. Wyczuwało się je oraz ujawniano ślady ich obecności systematycznie. Bezpośrednie spotkania, a nawet starcia o prymat ważności występowały dosyć często.

Pewnego razu o późnym popołudniu w lesie rozległ się w pobliżu przerażający krzyk bólu i rozpacz podobny do ludzkiego dziecięcego. Wydawany w sytuacji beznadziejności. Pobiegłem więc na ratunek krzywdzonej istoty. Nieopodal między drzewami zauważyłem, jak duży jastrząb trzymając w szponach zającą, rozdziera jego ciało potężnym zagiętym dziobem, który ostatkiem sił wydaje zanikające odgłosy uchodzącego zeń życia. Nastąpiła cisza. Zając skonał. Jastrząb zatrzymał się na wierzchołku pobliskiego drzewa. Pogroziłem mu trzymanym w ręku kijem i wyraziłem pod jego adresem coś niezbyt pochlebnego. Wiedziałem że on sobie życzy abym



się usunął z jego rewiru, a w jego gnieździe oczekują na ten łup zgłodniałe jego dzieci. Jastrząb siedząc na wysokiej sośnie obserwował mnie jakby pewien, że pozostawię mu jego słuszną zdobycz. Czekał na odniesienie jej do gniazda, by nakarmić swoje najdroższe i najpiękniejsze (choć według mnie potwornie brzydkie) istoty. Ptaki te według zaobserwowanych ich zachowań miały jakby "swoją rycerski honor", nie porywania ptactwa domowego z gospodarstw znajdujących się w pobliżu ich gniazd. Potrafią jednak mścić się, gdy ludzie uczynią szkodę ich gniazdu, a zwłaszcza ich potomstwu.

Pożyteczne chociaż niełatwe obowiązki pastuszka w trudnych warunkach obfitowały w różne zdarzenia i powodowały różnorakie przeżycia tych bardzo młodych ludzi. Pozwalało na poznawanie przyrody. Rozpoznawanie terenu m.in. gdzie i jakie mogą czyhać niebezpieczeństwa. Gdzie są ładne zakątki leśne, miejsca kwitnienia interesujących roślin, jagód, grzybów, orzechów laskowych. Gdzie można napotkać i jakie zwierzęta oraz ptaki, dziki z pokoleniami młodych, sarny, głuszce, cietrzewie tokujące. Odludne miejsca gdzie wzmożone jest występowanie wilków - celowe zachowanie większej uwagi i czujności. Okazy nietypowych starych drzew dogodnych do łązowania po nich. Oczywiście do współzawodnictwa we wchodzeniu na drzewa też. Pożyteczna była wiedza o miejscach gniazd os, szerszeni, pszczoł, trzmieli do „racjonalnego” wykorzystania. Jest to obowiązek trudny i męczący. Zmusza do bardzo wczesnego wstawania około wschodu słońca. Wyjście z pościeli i bardzo często wprost do wody (mokrej błotnistej łąki czy pastwiska) z kawałkiem chleba i ćwiartką mleka „wprost od krowy” niby to na śniadanie. Niekiedy przez kilka godzin nawet nie ma miejsca suchego aby usiąść. Przed południem powrót na parę godzin a po południu następna tura.

Mnóstwo różnego ptactwa dzikiego wręcz zachęca do ujawniania ich gniazd aby móc obserwować rozwój od jajeczek do dorosłych ptasząt. Zachowując ostrożność aby nie utrudniać ich rozwoju. Tu też obowiązywało współzawodnictwo o największą liczbę znanych ptasich gniazd nie zdradzając ich miejsca. Rozpoznawanie ptaków po ich odgłosach, śpiewie, sposobie lotu. Obserwowało się dramaty w tym zakresie, gdy ptasi drapieżcy rozbijali gniazda swoich słabszych pobratymców i wyjadając ich potomstwo. Smutne też były wielkie zbiorowiska pożegnalne dużych ptaków odlatujących jesienią na południe (bociany, żurawie, dzikie gęsi). Interesująco wyglądają ostatnie próby formowania się w klucze oraz ciągi tych ptaków przelatujących tranzytem z innego terenu.

Stado po dłuższym pobycie na mokrym terenie jest spragnione odpoczynku na leżącym a jedynym suchym miejscem jest wyspa wśród łąk i bagien zajęta przez uprawy rolne. Bydełku wstęp wzbroniony, bo będą szkody i odpowiednie konsekwencje w postaci batów na skórę poszczególnych sztuk. Człowiek wymierzał sprawiedliwość i sam zalewał się łzami, bo to niesprawiedliwe. Gdyby zaś sam przysiadł na tym twardym gruncie usnąłby i szkody byłyby znacznie większe. Sztuki niesforne dodatkowo karało się podpędzaniem pod gniazda os albo szerszeni wcześniej uszkodzone, dla rozjuszenia jego mieszkańców. One wiedziały jak ukarać napotkanego przypadkowego intruza. To już była drakońska kara zwłaszcza od szerszeni.

Nie tracąc czujności w ochronie podopiecznych zwierząt pastuszkowie stosowali dostępne w tych warunkach ćwiczenia dla podtrzymania tężyzny fizycznej. Ściganie się oraz skoki w dal i wzwyż. Przekonywające wyniki były w skokach w dal przy wykorzystaniu przeszkód wodnych (rowy, kałuże, cieki wodne). Kto nie przeskoczy wpada do wody lub błota. Podobnie w siusianiu na odległość, zawodnicy stają naprzeciwko siebie w ustalonej odległości. Wygrywa ten który obsiusiał i nie został obsiusiany. Komicznie to wyglądało jak na sędziego powołana była dziewczynka. Występowało to tylko u roczników młodszych.

Profesja pastuszka pozwalała na inne pożyteczne spostrzeżenia. Jak wiadomo do oświetlania poleskich chat powszechnie stosowano tak zwane „smolaki” palone na przypieczowych



kominkach. Pozyskiwano je z korzeni grubych sosen ściętych przed wieloma laty. Taki korzeń gnił z zewnątrz, ale główny jego rdzeń przesiąknięty żywicą usychał i twardniał. Nauczyłem się rozpoznawać takie obiekty i oznaczałem ich miejsca. Wykopywało się je, po oczyszczeniu i osuszeniu rąbało na drobne drewnienka czyli „smolaki”. To one palone na kominku oświetlały izbę w długie zimowe wieczory. Przy ich świetle przedło się nici, darło się pierze, tkano się płótno, nierzadko odrabiało się lekcje. Lampa naftowa stanowiła luksus i nie była wykorzystywana na co dzień. Nie tylko ze względów oszczędnościowych – z gajówki do sklepu odległość wynosiła często wiele kilometrów.

Wspomniane wyżej wypasane kupieckie bydło też nie żyło bezkolizyjnie. Wiele sztuk zapadało na chorobę zwaną krwotokiem. Niektóre z nich otrzymując dostarczane przez właścicieli lekarstwa wyzdrowiały. Część jednak nie przeżyła. Przez kilka dni strasznie się męczyły z bólu. Tak leżąc, czasem stojąc żałośnie przeraźliwie ryczały. Nie można było obojętnie tego słuchać. Młody człowiek przeżywał to strasznie. Byłem naocznym świadkiem tych dramatów jako pomocnik pastucha, bo nasze krowiny pasły się razem z całym stadem.

Nasza sytuacja nie stanowiła fenomenu – podobnie było w pobliskich wsiach. Z powodu uprawy roli, sianokosów i zbioru plonów, duża część młodzieży szkolnej opuszczała dni szkolne w okresie letnim. Władze oświatowe uwzględniały i usprawiedliwiały to. Zmuszone były do tolerowania tego stanu rzeczy. Podrastające dzieci żęły zboże sierpami. Mam udokumentowane ślady wykonywania tego pożytecznego, jakże niebezpiecznego obowiązku sprzed 80 lat - na własnych palcach. Tamte praktyczne nauki nauczyły mnie szacunku do każdej wykonywanej pracy.

Dzieci i dorastająca młodzież, którą losy rzuciły do omawianych tu odludnych leśnych pustkowi interesowała się wykrywaniem i rozpoznawaniem zakątków najbardziej tajemniczych, trudnodostępnych. Niekiedy na podstawie dochodzących z nich odgłosów lub nietypowych zjawisk zaobserwowanych w zachowaniu zwierząt. Np. omijanie niebezpiecznych miejsc z powodu bagiennych trzęsawisk albo ponadprzeciętnej penetracji przez drapieżców. Miejsca takie często występują w opowiadaniach z dziada pradziada. Wywołują one nie tylko dreszcze emocji, ale wręcz obawy przed nieprzyjemnymi następstwami nie tylko z powodu ewentualnego

zabłądzenia w wielkich obszarach leśnych. Do takich należało już wspomniane uroczysko zwane w miejscowym języku "Cielatnik" w rewirze gajówki Prycki z gajowym p. Oleszkiewiczem. Z jego rodziną spotkaliśmy się po deportacji do wołogodzkiej obłasti, a później w Płd Kazachstanie. Przedostanie się przez to uroczysko w okresie letnim było możliwe jedynie drewnianą groblą. Była to ostoja grubego zwierza zwłaszcza dzików odyńców. Na podejściu do niej Lonek pokazał mi dziką maciorę z sporą gromadką prosiątek, na które zupełnie przypadkowo natknęliśmy się. Dla mnie był to pierwszy widok wielkiej strasznej maciory oraz różnokolorowych cudownych malutkich jej dziątek, krzątających się wokół niej. Pani dzikowa z tego spotkania była wyraźnie niezadowolona, co oznajmiła groźnie chrząkając. Oczywiście niezwłocznie grzecznie wycofaliśmy się z tej niezapowiedzianej wizyty. Przy okazji informacja: w sąsiedniej gajówce Jarusin świnka miejscowego gajowego p. Kaczana urodziła, po niejawnym romansie z dzikiem świńsko-dzicze prosiątka. Nadzwyczajne nasze zainteresowanie wzbudziło też uroczysko Bondy znajdujące się kilka kilometrów od Ławskich, składające się z dwóch niewielkich zalesionych wysepek wśród bagiennych trzęsawisk. "Drogę" do nich należało wybierać po omacku, co czyniliśmy etapami przy pomocy przygotowanych rosochatych lasek. Szczególne zainteresowanie Bondy wzbudzały dochodzącymi z ich kierunku odgłosy wilczych szczenięt, kształtujących przedjesienne ich próby wycia. Wybraliśmy się (ja z siostrzyczkami) bodaj wiosną 1936 roku z dreszczem emocji jak przed prawdziwą wyprawą i dobrnęliśmy na miejsce. Miła niespodzianka to pięknie kwitnące konwalie i cudowny zapach tych białutkich dzwoneczków. Narwaliśmy tego sporo. Było też dużo



pozostawionych kości, to ślady po wilczych ucztach, które tam musiały odbywać się od wielu lat. Do tego celu miejsce nadające się wysmienicie, samo się naprasza, spokojne, bezkolizyjne. Sądzę, że nie tylko odbywało się tu żarcie, o czym świadczą dochodzące stąd odgłosy... Postanowiliśmy nie chodzić tam samotnie...

W gajówkach i osadach w których mieszkaliśmy przeważnie były gniazda bocianie, a zatem mieliśmy jakby swoje bociany, które wracały do tych gniazd wczesną wiosną. Były to kochane przez nas nasze bociany. Gniazda swe budowały na starych potężnych dębach na przygotowanej i odpowiednio umocowanej podstawie – ramie. Sympatyczny głośny ich klekot towarzyszył nam przez całe lato, przy każdym odlocie czy przylocie do gniazda jednego z pary.

Hodowały one 2-4 młodych bocianków bo żywności miały tam wbród. Miały one też swoje dramaty. Podobnie jak wśród ludzi, na gotowe każdy łasy więc, na wiosnę wybuchały bratobójcze walki o dom czyli gniazdo. Bezdomne pary uzurpują zdobyć siłą, bezpardonowym napadem. Niekiedy odbywa się to przy dużym bocianim audytorium. Napastnicy często zmieniają się. W rezultacie kto zwyciężył nie wiadomo (wszystkie są jednakowe). Myśmy byli pewni że nasi sąsiedzi obronili swój dom. Chyba tak było sądząc po zabiegach naprawczych uszkodzeń gniazda. Życzyliśmy im tego chociaż nie byliśmy w stanie udzielić im pomocy.

Po zajęciu przez ludzi tych samotnych osad, zjawiali się tam i inni drobni mieszkańcy. Np. wróble jako współnicy do miski i cudownie świergocące jaskółeczki, zakładające pod dachami charakterystyczne swoje gniazdzka. Zanieczyszczały one trochę teren, ale pomagały ludziom niszczyć sporo owadów i miłym wczesnym szczebiotem budziły ich do pracy. Na polach zaś pojawiały się skowronki, śliczne i pięknie odprawiające swoje śpiewne rytuały. Powinni żałować ci którzy tego nie słyszeli. Uroki tego można porównać jedynie z melodyjnymi, rzewnymi piosenkami zawodzonymi o "szarej godzinie" po całodzienną pracę przez grupki miejscowej młodzieży. W tym czasie, zwłaszcza przy dobrej pogodzie przenoszą je echa leśne na duże odległości. A wynikało to z dawnych obyczajów... To była jedna z nielicznych rozrywek, w której chętnie uczestniczyliśmy. Poprawialiśmy tym swoje możliwości i umiejętności wokalne.

Zdarzyło się że Lonek dorosły człowiek poszedł ze mną do odległej wsi i kupiliśmy tam dojną krowę – oczywiście za zgodą rodziców. Przyprawiliśmy tę Krasulę ku radości całej rodziny. Jak zwykle w takich przypadkach, podlegała ona wzmożonemu dozorowi do czasu zadowolenia się w nowym domu. Każde dorosłe zwierzę próbowało uciekać. Trudno upilnować jednak w terenie zalesionym przy dużym stadzie (Wareniszczce). Zaginęła krowka więc wszczęto poszukiwania na właściwym kierunku. Dość szybko odnaleziono jej zwłoki utopione w odwadniającym kanale. Na stromym brzegu zanurzona głową i oparta o dno. Nie zdołała wydostać się. To tragiczne zdarzenie wstrząsnęło całą naszą rodziną nie tylko z powodu straty materialnej.

M.in. z powyższego przypadku wynikające nauki udało się w przyszłości zastosować przy wątpliwościach co do wyboru właściwej drogi. Zwierzęta domowe instynktownie zapamiętują odbytą trasę. Np. konie mając swobodę wyboru, bezbłędnie przywożą człowieka do domu. O to przykład z grudnia 1943 roku z Płd. Kazachstanu. Grupa kilkunastu wozaków dostarczyła z Kok-tiube transport bawełny do miasta Turkiestan, stepowo-pustynną drogą na odległość ok. 90 km. Tak się złożyło, że zdecydowałem się wracać do domu (Kok-tiube) przed nocą 24 grudnia.. Moje konie tę trasę pokonały po raz pierwszy. Nakarmiłem i напоilem je i w drogę. Reszta wozaków to Kazachowie pozostała na nocleg. Noc zimowa długa, ciemna i zimna. Na ogół



jechałem stępem i kłusem, z zimna skutecznie odcinkami biegi obok wozu dla rozgrzewki. Konie decydowały o wyborze drogi i robiły to bezbłędnie. Gdy się rozwidniło zrobiłem przerwę popasową. Nakarmiłem zarezerwowaną koniczyną (Kazachowie niestety nie mieli takiego zwyczaju, aby zabierać pokarm dla koni i wołów). Na łono rodziny wróciłem koło południa 25 grudnia. Przewodniczący kolchozu Chalimbiet (nazwiska nie pamiętam), b. kręcił głową na mój samotny powrót, podkreślając niebezpieczeństwo, ale zadowolił się efektem. Rachmet Taży podziękował dodając, że moje konie nie wyglądają na przemęczone. Jego pobratymcy z naszej kolumny wrócili po półtorej dobie.

Lonek pełniąc służbę w Korpusie Ochrony Pogranicza w czasie urlopu przywiózł miesięcznik KOP „Szkwał”, który czytała cała rodzina. Mnie zainteresowała fotografia patrolu KOP w nurtach rzeki Zbrucz na szczudłach. Spodobało mi się to bardzo. Rozpocząłem eksperymentowanie tego urządzenia. Powstała więc jeszcze jedna dyscyplina współzawodnicza wśród pastuszków. Walka o prymat na szczudłach własnego wyrobu o długość i szybkość poruszania się. Trudność polegała w chodzeniu na nich po terenie bagnistym. Lonek nauczył mnie pokonywania przeszkody wodnej po słabym lodzie na leżąco przy pomocy odpowiednio długiego drąga.

Zamieszkiwanie w tej czarującej krainie wymaga umiejętności pozyskiwania pożytków niezbędnych do życia, ofiarowanych przez otaczającą nas przyrodę. Są one powszechnie znane jeśli chodzi o roślinność. Przykładowo chodzi o szczaw, komosę zwaną tu lebiodą, pokrzywę, czarne jagody, poziomki, brusznica zwana borówką, żurawina nierzadko rosnąca na trzęsawiskach, maliny, jeżyny, czarne porzeczki zwane tu smurodiną, dzikie jabłunki i gruszki [ulęgałki], jarzębina po porządnym przemrożeniu. Do zielsk stosowanych przy letnim żywieniu świń doszedł "bobownik", odpowiednio posiekany i przyprawiony bardzo chętnie przez nie spożywany. Roślina bagienna, rzadko występująca w niektórych uroczyskach i powszechnie tam zbierana. Nie brakowało zwierzyny leśnej, nierzadko nielegalnie odławianej przy pomocy wnyk, sideł i zmyślnych wykopów. Jeziora, rzeki i kanały obfitowały w ryby. Wody te po okresowych wylewach stabilizują się. Minimalizują swe obszary do pewnych odcinków i oczek wodnych bezodpływowych, wraz z pozostałymi w nich rybami. Wystarczało tam zmieszanie (zbełtanie) tej wody i następnie wybieranie rybek rękoma. Najczęściej były to niewielkie szczupaczki. Sztuki większe trzymające się głębszej wody odpływały razem z nią. Zimową porą po zamarznięciu wód, w niewielkich kanałach łowiło się piskorze (wjuny), wyrabując w lodzie stojących wód otwory - wstawiając doń zwykły wiklinowy koszyk. Po nocy można było wyjąć prawie kosz tych nieszczęśników. Na zamarzniętych wodach zalanych łąk (przed opadami śniegu) pod przezroczystym lodem można było "głuszyć" pływające pod nim ryby. Należało silnie uderzyć twardym kijem w lód nad rybą. Gdy wywróci się do góry brzuchem należy szybko ją wyjąć zanim rybka „ożyje”, oczywiście trzeba mieć pod ręką siekiere do przerabiania lodu.

Poruszona powyżej tematyka, właściwie wyjątki z obserwacji warunków, zjawisk, sytuacji i przeżyć autora z lat dziecięco - chłopięcych jakby z innego świata. Dzisiaj trudne do zrozumienia nawet kolejnemu następnemu pokoleniu bez olbrzymiego wyteżenia wyobraźni. Kolejnym następcom może to być nawet nudne, mimo że w każdym wątku zawarte są pierwiastki tragizmu i niebezpieczeństwa oraz możliwość bezpowrotnych strat żywych nam bliskich istot i strat materialnych. Młodzież wychowana w mieście z natury rzeczy nie może tego głębiej rozumieć. Ludność aktualnej wsi pod względem warunków życia niewiele różni się od miasta. Czyli też nowa trudność w zrozumieniu.



Można rozpocząć od jednego z głównych bohaterów występujących w opisie. Wilk, wilki, cały ich ród jako szkodników, bo wyrządzał człowiekowi wiele szkód i powodował mu dodatkowe straty. Był moim wrogiem nr 1 od chwili gdy zaczęto mi powierzać ochronę i opiekę nad domowymi zwierzętami tj. w wieku 7 - 13 lat. Zdażyłem więc zapoznać się z tymi gałganami, sposobami ich działania i zwyczajami. Z perspektywy czasu oceniam tych drapieżców jako zwierzęta przebiegłe oraz inteligentnie rozumiejące swoją sytuację w konkretnych warunkach. Np. gdy wywożono do leśnych ostępów padłe sztuki bydła, bynajmniej nie po to aby je dożywić, ale dla ustawienia na nie odpowiednio zamaskowanych sideł - przychodziły tam grupowo, pożerały padlinę bardzo umiejętnie i skrupulatnie omijając sidła. Nie doceniono więc ich cwaniactwa. Nigdy nie napadały na pastuszków. Nawet nie próbowały ich straszyć, uciekały od nich pozostawiając nierzadko porwaną już sztukę. Wyglądało tak jakby się bały tych nadbiegających, krzyczących na nie ludzików. Wyciągały słuszne wnioski, że te odgłosy sprowadzą dorosłych ludzi którzy im mogą zrobić kuku. Pewnego razu, przy mokrej ponurej pogodzie zjawił się wyjątkowo wielki wilk (znany w tych lasach osobnik) obok stada, w przybliżeniu 20-30 moich kroków od mnie. Niewątpliwie przy skradaniu się mnie musiał widzieć. Zapatrzył się jednak w owce i tylko ważył się na łapach do skoku. Z perspektywy czasu mogę przypuszczać że rozkoszował się widokiem niewielkiego stadka owiec i kombinował którą z nich pożerając będzie się raczył. Do tego nie doszło jednak. Narobiłem krzyku rzucając się nań, więc oglądnął się na mnie i uciekł jak niepyszny. Przecież zwykły wiejski kundel rzuciłby się na mnie szczerząc zęby. Przy budowie tam obór, pod ich fundamentami umieszczano przewody drutu kolczastego aby utrudnić wilkom podkopy dla dostania się do obory. Skutek był taki, że wilki zaczęły je omijać głębszymi wykopami, którymi wyciągały uduszone w oborze owce i cielęta. Umiejętnie też organizowały łowy na dzikie zwierzęta np. na sarny. Zwłaszcza miały ułatwienia zimową porą przy grubej warstwie śniegu.

Warto odnotować inne kontaktowe epizody z napastnikami na powierzone naszej opiece żywe istoty. Miało to miejsce w pobliskim uroczysku zwanym "Zabołociem". Wypędziliśmy bydło i owce na popołudnie na taki wydłużony częściowo zalesiony ostrów o twardym podłożu połączony z łąkami. Jak zwykle czuwając nad bezpieczeństwem głównie owiec coś sobie strugałem scyzorykiem. Pogodnie, słońce chyliło się ku zachodowi. Wtem za plecami usłyszałem tupot podobny do końskiego galopu (nie słyszałem takiego odgłosu spod łap wilka) pędzącego przez środek naszego stada w kierunku owiec. Oczywiście "aha wouka" z kijem w rękach i scyzorykiem popędziłem za nim, Tosia za mną, "Łania" krowa p. Korczyca rzuca się rogami na przebiegającego przed nią wilka. Była to istota wścibska i bardzo szkodna, ale za ten jej wyczyn, odstąpiłem od egzekwowania wobec niej kilku zasłużonych przez nią następnych kar. Owce zamiast uciekać, skupiły się w gromadce i stoją, wilk powąchał jedną, a za kark złapał drugą, ogonem ją po zadku i uciekają razem. Owca wypada mu z zębów ale zrywa się i pędzi za nim, ten ją za kołnierz i dalej gnają. Wreszcie wypuścił i uciekł. Dogoniłem tę "inteligentną" istotę i doprowadziłem do stada, które w komplecie pędziło za mną, a teraz pomrukując święci triumf. Przybiegły też starsze siostry z tatusem, bo to było niedaleko od domu. Korczyk zaraz dał ojcu "berdanke" z jednym nabojem aby ustrzelił rabusia jak wróci po zdobycz. Ale wilk się obraził za posądzenie go o taką głupotę i nie przyszedł. Trzeba jednak podkreślić, że strat nie dało się uniknąć. Myślę, że nie zawsze były usprawiedliwione. Zdarzały się przypadki porywania kurcząt i gęsiąt prawie spod paznokci nóg przez nurkujące z góry jastrzębie unosząc wołające o ratunek pisklęta. Komplikowała życie plaga komarów, much, muszek, gzów i bąków kęsających ludzi i zwierzęta. Masa występujących kleszczy obsiadała na ciele ludzi i zwierząt (dziś słuchając pouczeń o zagrożeniach ze strony zauważonego gdzieś kleszcza, wydają się one mało przekonywające). Kleszcze po prostu usuwało się ze swego ciała i z ciał ulubionych zwierząt (cielaki, jagnięta, zrebaki, kotki). Komary najskuteczniej zwalczało się dymem. Głównie z wysuszonej huby wyrosłej



na chorującym już drzewie, zwanej "skrypnem".

Tafle lodowe na dużych powierzchniach łąk korciły młodzież szkolną i "pasterską" do ślizgawki. Pomysłowość w robieniu tzw. "koników" (prymitywne naśladownictwo łyżew). Drewna nie brakowało sznurki do wiązań można znaleźć lub wykombinować. Natomiast niezbędny gruby drut oraz gwoździe do jego mocowania i do kijków do odpychania się było bardzo trudno. Jeśli udało się pokonać te przeszkody, rozpoczynały się szaleństwa z różnymi jego następstwami. Upadki, siniaki, zwichnięcia, "kapienie" w lodowatej wodzie, katarze ze "smarkami jak postronki" i inne. Podobne kłopoty były też z próbami "narciarstwa". Nie mogę zapomnieć zjazdu na samodzielnie zrobionych "nartach" z góry i wylądowanie okrakiem na raptownie "wyrosłym" stosunkowo grubym drzewie, akurat w miejscu przez które miałem jechać.

Rano pewnej niedzieli wypędziłem trzódkę z dorastającymi jagniętami na pastwisko porośnięte gęstym brzeźniakiem na dość bagnistym podłożu, połączonym z łąką. Gdy znalazła się ona na otwartej łące, rozumowałem że niebezpieczeństwo minęło. Poza tym znacznie zbliżyliśmy się do domu. Pozwoliłem na oddalenie się owieczek w kierunku domu. Wilki to wykorzystały pełznąc na łapach i brzuchach po większym zakolu, ujawniając się wśród owiec i porywając bodaj trzy sztuki. Nie zdołałem, ze względu na znaczną odległość, skutecznie na to zareagować. Podejrzewam

że była to pokazowa "lekcja" starych wilków dla swojej młodzieży. Resztki i ślady po porwanych jagniętach ujawniliśmy w głębi lasu. Nie obroniono też gęsi trzymany w przydomowej zagrodzie, które zostały porwane w nocy przez grupę drapieżników. Widzieliśmy w ciemną noc tę operację jako przelatujące nad ogrodzeniem "białe plamy". Ślady po gąskach zaznaczyły piórka na polanie i w borze "Kruhłoje" aż do granicy "Cielatnika".

Po warunkach, w jakich wówczas tam ukształtowała się dorastająca młodzież w wstępnej fazie, a już spora jej część została poddana dalszej nie oczekiwanej "obróbce". Między innymi w dalekich krainach, w innych strefach klimatycznych, wśród różnych ludów i narodowości, a także warunków zdobywania środków do życia nierzadko tylko do przetrwania. Wreszcie przez różne dostępne armie i fronty, aby powrócić na Ojczyznę łono i stworzyć warunki zapewniające możliwość spotkania się z najbliższymi. Gwarantował to powrót z bronią w rękę i z pewną dozą pomsty nad winowajcami naszych nieszczęść na przymusowych "wycieczkach nieturystycznych". Nastąpiły dalsze migracje ale już w większości dobrowolne, chociaż także niełatwych do warunków potencjalnie lepszych. Przerząły ogromne zniszczenia, w tym nie wszystkie nieuniknione.

. W kontekście z przeczuciami, telepatią jako pojęcie kontrowersyjne, sny jako "proroctwa" z aktualnymi zdarzeniami. Mnie osobiście zdarzyły się sny "sprawdzające się", przedtem powiązane z aktualną sytuacją i wykonywanymi zajęciami. Później także w życiu dorosłym, na co zazwyczaj nie zwracałem uwagi. W tym miejscu jednak chcę wrócić do jakiegoś podświadomie przeżywanego schyłku dnia 9 lutego 1940 roku. Jak zwykle dokonaliśmy z tatusem wieczorowego obrządku w oborze tj podścielenie słomy oraz zadanie karmy zwierzętom. Mieliśmy rocznego żrebaczka ulubieńca nas wszystkich, który w międzyczasie pohasał po polu, ale nie chciał przyjść do stajni a zwykle czynił to ochoczo. Zmuszony byłem porządnie za nim nauganiać się. Mamusia z dziwczynkami jakoś uroczyście załatwiła swoje damskie obowiązki. Był więc normalny zimowy wieczór, a jednak nie zupełnie. Jakoś podświadomie występowało "coś" innego w psychicznym nastawieniu. Jakiś niewytłumaczalny niby żal o zwierzęta, czy do zwierząt. Gdybym przypuszczał, że widzę je po raz ostatni - postąpiłbym chyba inaczej chociaż nie wiem jak. Lecz nikt z nas nie wiedział, że jest to wieczór pożegnania na zawsze ze wszystkim co takim



wysiłkiem zostało zrobione w Danusinie. Przez myśl nie przechodziło, że już tego nie zobaczę, chociaż logicznie należało się tego spodziewać, a nawet oczekiwać.

W drodze do pokojowej normalności autorowi też przydarzyły się epizody wykraczające poza unormowany porządek regulaminów wojskowych czasu wojny, typu następujący wkręt tematycznyw ramach drogi życiowej... Transport ze szpitala polowego na stację kolejową, załadowanie rannymi pociągu sanitarnego do ostatniego miejsca i odjazd. Do Poznania przybyliśmy wieczorem, przewóz do 66 Szpitala Ewakuacyjnego Wojska Polskiego w szkolnym budynku narożnym ulic Krętej i Działyńskich. Tu zdanie do magazynu umundurowania kierowano rannych do łaźni (niewiele mieliśmy wspólnego z higieną osobistą po warunkach polowych). Obsługa to młode dziewczęta, które przysunęły mi taboret (ja oczywiście w kałesonach), wyrażając chęć wykąpania mnie. Odmówiłem ale one pozostały. Zaczęły pokpiwać, więc zgodziłem się ale bardzo wstydziłem się. Na sali spotkałem kilku znajomych i kolegów. Po paru dniach przybył też Wiszniewski aktualny d-ca mojej kompanii. Napisałem list do rodziny w Czimkencie o niedyspozycji zdrowotnej (Rodzinka zrozumiała o co chodzi). Rannymi zaczęły się opiekować dzieci szkolne, które "wsypały się" pewnego dnia do naszej sali (ok. 40 rannych). Do mnie podeszła z kwiatkami Gertruda Matuszewska. Ta b. miła dzieciarnia pojawiała się co parę dni. Wśród setek rannych i dziesiątków pracujących na okrągło młodych dziewczyn, powołanych do wojska lub przybyłych ochotniczo. Podkreślenia wymaga ich oddanie tej bardzo trudnej roli. Pocieszanie i obsługiwanie ludzi cierpiących, czasem niewybrednych w słowie. Ta anielska cierpliwość i gotowość niesienia pomocy o każdej porze doby. To one kontynuując dzieło przeciążonych podczas ofensywy lekarzy, doprowadzały do zdrowia tych ludzi. Środki medyczne były nader słabe. Niekiedy papier toaletowy zastępował bandaże. Pewnego razu weszła do sali dziewczyna w białym fartuchu z kilkoma fiołkami w dłoni. Jak zwykle wszyscy zwrócili na nią uwagę i zaczęły się nagabywania o te kwiatki. Ta zaś odparła, że są one dla konkretnego adresata i wskazała na przeciwną część sali, przynosząc mi te kwiatki. Zaskoczyło i uradowało mnie to. To była siostra Mirka z sąsiedniej sali ładna, kilkunastoletnia dziewczyna, była już ranna w Powstaniu Warszawskim. Zaproponowała oczyszczenie mego umundurowania. Na podstawie mego kwitu, wyciągnęła je z magazynu, doprowadziła do stanu użyteczności i dostarczyła po paru dniach. W naszej sali byłem jedynym takim szczęśliwcem. Przyzwyczajaliśmy się trochę do siebie. Chyba zaczęło się coś platonicznego rodzić. Taka bratnia dusza. Noc 1/2 maja inna niż poprzednie. Obudziła na strzelanina jaka wybuchła w mieście. Rozpoczęły się domysły m.in. dość czarne. Poranek dostarczył ulgę i radość wojska radzieckie i polskie zdobyły Berlin. Podobne zjawisko obserwowaliśmy 9 maja, przyczyny nie znaliśmy, ale niepokój był znacznie mniejszy. Gdy poznaliśmy powód wcześniej niż poprzednio - wpadły na salę jak tajfun nasze kochane opiekunki siostrzyczki, z wiadomością o końcu wojny. Chciało się być uczestnikiem tego wydarzenia bezpośrednio na froncie. Po wybuchu radości przyszły refleksje. Co dalej, jak popłynie życie, wspomniało się poległych, myśli niekontrolowne pobiegły do poleskich bagien i bezkresnych stepów Kazachstanu do znajdującej się tam rodziny, po drodze wołogodzka tajga, Razań, Majdanek, podradzyńskie lasy, długi zimowy marsz i po drugiej stronie frontu formalnie zakończonego Lonek. Jednak duża doza marzycielstwa. Mieczty, mieczty gdzie wasza sładac... Ta wiosna wydawała się najpiękniejszą ze wszystkich dotychczas przeżytych. Rekonwalescenci mogli otrzymać urlopy zdrowotne. Skorzystałem z tego wybierając się "W Polskę" w kierunku Warszawy. W drodze zapoznałem powracającą z robót przymusowych w Niemczech, mieszkankę podotwockiego Śródborowa. Zaprosiła mnie do odwiedzenia przy okazji tej letniskowej miejscowości. Z Warszawy udałem się do Paszek skąd wyruszyliśmy na front, gdzie odwiedziłem znajome siostry Komorowskie. Następnie pojechałem do Narewki chcąc odwiedzić ciocię ale tam pociągi jeszcze nie jeździły, więc po całodobowym oczekiwaniu na stacji kolejowej Czeremcha, wydostałem się przypadkowo odjeżdżającym parowozem do Białegostoku w sporej grupie podobnych szczęśliwców. Stąd towosem wróciłem do stolicy. W kolejowej komendzie wojskowej (oczywiście radzeckiej) pobrałem suchy prowiant na kilka dni, udałem się do Śródborowa na zaproszenie wyżej



wspomnianej Krystyny Karpińskiej. Warunki tu pozwalały na parodniowe zatrzymanie się. Pozwoliło to na zapoznanie się z okolicą zwiedzaną w towarzystwie Krysi. Popęłiła raz błąd wprowadzając mnie do piwnicy ich domu, gdzie braciszkwowie jej pędzili bimber ("drukowali ówczesną najbardziej chodliwą walutę"). Nastąpiła konsternacja, dla rozładowania atmosfery wtrąciłem parę słów, że u nas inaczej to robią, zaproponowałem aby im nie przeszkadzać. Swoją drogą braciszkwowie tej miłej dziewczyny nie wyglądali na istoty o gołębih sercach. Wróciłem do szpitala, w sztabie drugiej armii ustaliłem gdzie aktualnie stacjonuje mój pułk, bo właśnie chcę tam wrócić. W oddziale personalnym zaakceptowano mój pomysł i poinformowano, że są gońcy z 7 dywizji. Okazało się że są to żołnierze z mojej kompanii, aktualnie pełniący służbę w dywizyjnym zwiadzie. Rażniej było wracać. Tym bardziej, że okazało się iż gońcy dysponują obiegową "walutą", dzięki której ostatni etap podróży odbyliśmy własnym koniem z zaprzęgiem i od tej chwili stał się on własnością jednostki. Nazajutrz zameldowałem się u dowódcy 37 swojego pułku piechoty w Bogatyni. Przed wieczorem znalazłem się w swojej 2 kompanii strzeleckiej z miejscem postoju Krzewina Zgorzelecka (niem. nazwa Grunau), jako z-ca d-cy kompanii. To był lipiec 1945 roku. Kompania ochraniała nową granicę państwową na Nysie Łużyckiej. Tak właśnie moje losy wiązały się z ochroną granicy państwa do 1991 roku. Według rzetelnych badań osiągnąłem status najdłużej pełniącego służbę żołnierza Wojsk Ochrony Pogranicza - przeszedłem w stan spoczynku 18 kwietnia 1991 roku. Po nieprzerwanej służbie wojskowej od 2 kwietnia 1944 roku.

Z własnych doświadczeń wiem, że w swej masie nie szukaliśmy łatwizny i unikania trudności. Pokonywaliśmy je nierzadko nadmiernym wysiłkiem, a wiedzę zdobywaliśmy metodą prób i błędów. O wyborze zawodu w okresie wojny często decydował przypadek albo aktualni przełożeni. Teraz palącym obowiązkiem było zdobycie albo uzupełnienie wykształcenia. Kto tego nie rozumiał lub nie potrafił skutecznie połączyć z aktualnie wykonywanym odpowiedzialnym obowiązkiem, albo uwierzył w możliwość jego spełniania w okresie pokojowym i w nowych warunkach - dobrowolnie odpadał i sam się eliminował. Istniało jeszcze niebezpieczeństwo wpadnięcia w przesadną euforię. Byliśmy szczęśliwi i radosni z zakończenia strasznych przeżyć wojennych. Chociaż w zrujnowanym otoczeniu, często z brakiem dachu nad głową, a niezbędne do życia środki były bardzo ubogie. Lecz odbudowywała się polska rodzina, nie rzadko jej namiastka czasami resztki wracały z zesłań, z przymusowych robót i z frontów zakończonej zwycięskiej wojny. Powodów do radości było sporo. Właśnie one dawały nadzieję na przyszłość dla uruchomienia istniejącego potencjału dla odbudowy kraju. Obok patriotycznego zrywu, nie można zapominać o zdemoralizowaniu społecznym wywołanym przez wojnę. "Wyprodukowała" ona nie tylko grzeczne i posłuszne dzieci, ale także zdemoralizowane typy spod ciemnej gwiazdy, nie cofające się przed żadnym draństwem. Nie brakowało więc tzw. "niebieskich ptaków i urodzonych w niedzielę". Nie można było na nich liczyć. Ponadto różnorodność światopoglądowa polskiego podziemia antyhitlerowskiego, zaowocowała niesnaskami między organizacjami zbrojnymi, mogąca doprowadzić do zagrożenia wojną bratobójczą podczas wyzwania Polski spod okupacji i bezpośrednio po nim. Zarzewie jej stanowiły bandy tzw. "Ukraińskiej Armii Powstańczej [UPA]" na terenie południowo-wschodniej Polski. Była to organizacja zaprawionych już "rezunów" ludności polskiej na dawnych Kresach Wschodnich w 1943 roku. (Zamordowali tam ok. 130 tysięcy Polaków, Polacy zaś w obronie własnej zabili niespełna 30 tysięcy Ukraińców). Położyło jej kres wysiedlenie ludności ukraińskiej, przeważnie sprzyjającej bandom upowskim, na Ziemi Odzyskanej w ramach akcji pod kryptonimem "WISŁA". Uniknęliśmy m.in. przez to wojny domowej. Tylko żal, że po transformacji ustrojowej nowe władze polskie poparły propagandowo, tychże „rezunów” ukraińskich nazywając "Akcję Wisła" działaniem zbrodniczym. Pokłosie tego zbieramy do dziś (29.06.2013 rok). Załatwienie tej sprawy pozostawiono przyszłościowemu gadulstwu i pokazówce wspólnych modłów najwyższych hierarchów kościelnych obu stron. Byłbym szczęśliwy, gdyby mi ktoś potrafił rzeczowo (przekonywająco) udowodnić, że to pomaga. Niepoważnie też wygląda podawanie przez nasze media informacyjne coraz to nowych danych



liczbowych na temat poniesionych strat o tych zbrodniczych działaniach (różnice bywają wręcz kompromitujące).

Gajówka, leśnik, gajowy, puszcza, knieja, bory, lasy i wszelkie jej mieszkańcy stanowią środowisko charakterystyczne oraz zamknięte w sobie. Niby różnorodne ale pod pozorem podobieństwa może bardzo łatwo doprowadzić, nieobeznanego z nim przybysza do zdezorientowania. A zatem poblądzenia, zagubienia stron świata, pomieszania kierunków. Nie ma tu bowiem typowych osiedli, "bitych" dróg, znajomych punktów orientacyjnych. Po prostu aby z tym sobie poradzić należy stopniowo je rozpoznawać i nauczyć się instynktownego zapamiętywania trasy swego poruszania się. Nauczyć się rozpoznawania śladów zwierzęcych, odgłosów typowych w leśnym środowisku, na łące podczas sianokosów itp. Niezbędne jest uzmysłowienie wzajemnego położenia charakterystycznych obszarów np. cieki wodne, bory czyli lasy sosnowe lub liściaste, bagna, pozostałości po kopcach dawnego wypalania węgla drzewnego i tzw. smolarni. Oczywiście najważniejsza jest znajomość dróg i ścieżek leśnych, a także linii kwartalnych podziału lasu. Nie wspominam o naukowych zasadach orientacji w terenie, jako nie wchodzące tam i wtedy w rachubę.

Zdarzyło się w początkowym okresie naszego zamieszkiwania w Wareniszczach - było to pierwsze lato naszego tam zamieszkiwania. Welcia starsza moja siostrzyczka przy okazji zbierania poziomek, na skraju lasu "zabłądziła" i ze łzami w oczach wszczęła wołanie o pomoc. Gdy zbliżył się do niej Lonek i zapytał czego się maże, odpowiedziała łkając, że poblądziła i nie wie gdzie jest nasz dom. Obiecał zlać jej skórę za pochopne wyciąganie wniosków i polecił jej znaleźć drogę do domu oraz wyjść na widoczną w pobliżu polanę i ją obejrzeć. Po kilkunastu krokach dziewczynka radośnie stwierdziła, że na polanie stoi nasz dom. Pouczył więc aby w przyszłości lepiej rozglądała się przed wołaniem o pomoc, bo w lesie nie należy hałasować.

Wynika to z nieco opóźnionego adoptowania się do warunków leśnych. W każdym razie na tyle, że za kilka lat, gdy w Wołogodzkiej Obłasti pracowała w charakterze "lesoruba", nie zdarzyło się aby zabłądziła na swoją działkę lub pomyliła drogę do domu z wykańczania tajgi nawet o zmroku, chociaż ta była nieporównywalnie większa od majątku Oharewicze.

W nawiązaniu do pierwszej części wspomnień należne jest uzupełnienie, że do lasów oharewickich na grzyby, jagody, orzechy i inne pożytki leśne udawaliśmy się zwykle większą grupą z Łodzią, Welką, Toską a nawet z Lonkiem. Dlatego moja kolejna eskapada z Toską odbyła się już przetartym szlakiem. Wypada też zauważyć, że Lonek z Korczycem wybierał się tam czasem na koziołka do uroczyska "Cielatnik" tego majątku (najbardziej grząskie). Właściciele tych majątków, najdelikatniej mówiąc nie przepadali za sobą, nie kryjąc tego nawet w wypowiedziach publicznych.

Wzbogacenia też wymaga epizod związany z eksperymentem w łódce. Załoga jej w 75% była damska. Najstarsza moja siostrzyczka Łodzka, Welka i najmłodsza (a zatem wychowywana też przeze mnie) Tosia. Autorstwo zgodnie z prawdą przypisałem sobie, natomiast decyzję w ułamku sekundy podjęła i wprowadziła w życie (o ewakuacji z tonącego okrętu) Łodzka. Jako "kapitan" (wyobraziłem sobie) nie mogłem opuścić pokładu. Doprowadzenie łódki do brzegu pozostało w mojej gestii. Przyznaję że nie śpieszyłem się z tym zbyt. Odczekałem, aż burza mózgów nieco się uspokoi. Jako jedyny z załogi dobiłem do brzegu prawie suchą stopą, na łódce do połowy wypełnionej wodą, którą musiałem z niej wylać.

Z opisywaną tematyką wiąże się praktyka nauki w rzeczywistej szkole. Tam i wtedy dla wielu uczniów szkół powszechnych wiązała się z kilkukilometrową odległością do szkoły. Ponieważ prowincjonalne szkoły powszechne wiejskie, z zasady były czteroklasowe, a nauka



obowiązywała od ukończenia siódmego roku, odległość ta była zbyt męcząca. Chcąc ukończyć szkołę powszechną uczniowie klas 5-7, musieli pokonywać odległość znacznie większą. Zimą uniemożliwiała to warstwa śnieżna, więc wynajmowano kwaterę i te 11-13 letnie baki musiały zaprawiać się w gospodarowaniu groszowymi kwotami na utrzymanie, kucharzenie itp. W naszych warunkach mnie i Tosi odległość do Hancewicz wynosiła prawie 8 , a do Łoktysz około 9 kilometrów. Przedtem Lodzia z Welką jako dziewczynki były lepiej zaprawione i przystosowane. Lonek zaś szkołę powszechną kończył na kursach wieczorowych przy szkole powszechnej w Końkach.

Z perspektywy czasu nasuwa się następująca uwaga. Gdyby nasi aktualni znawcy problematyki nauki i oświecenia publicznego (tak się nazywało) nastali ok. 100 lat wcześniej, to takie małe, chude, niedożywione szkraby nie miałyby żadnych szans nawet na podstawowe ówczesne wykształcenie. Mam na myśli dźwiganie na taką odległość płóciennych toreb o kilkukilogramowym ciężarze, jaki obecnie dźwigają. Trzeba uwzględnić nie tylko książki i zeszyty, ale też piórniki, obsadki, ołówki, gumki pojemniki z atramentem nierzadko i z kawałkiem niezbyt omaszczanego chleba. Wyprawa do szkoły trwała prawie cały dzień. Po ukończeniu tamtej podstawowej szkółki nie rodziły się też same matoly, jak to określała dziatwa miasteczkowa.

Przejawy szkoły przetrwania w głuszy poleskiej w dużej mierze dotyczyły młodzieży dorastającej do pełnoletności (osiągało się ją po ukończeniu 21 roku życia). Dotyczyło to Lonka. Najbliższe środowisko młodzieży polskiej znajdowało się w Żydowiczach, kilkanaście km od Wareniszcz dostępne poprzez las i bagna. Całe szczęście że karnawał jest zimową porą, stwarzało to możliwość pokonanie tej przestrzeni suchą stopą. Więc wychodził tam w określone soboty przed wieczorem, a wracał rano, czasem wieczorem w niedzielę. Obok pozytywu pojawia się też ohydna rzeczywistość. Jest to okres ruiny wilczyc, a zatem niebezpieczeństwo napadu na samotnego chłopca w odległym lesie. Czasem samotny chłopak za zgodą Ojca brał do kieszeni służbowy rewolwer tatusia. Miał tam sympatię, bardzo ładną dziewczynę- Tatuś tego nie pochwalał, bo to Ślązaczka.

Przy takiej okazji nierzadko po północy rozpoczynała się "szkoła przetrwania" nieco inna, dla naszej najdroższej Mamusi. Tatko czyli Feliks, niespokojny o nieobecność w domu najstarszego syna nie mógł spać. Ale to nie najgorsze, bo swoimi odczuciami potrzebował podzielić z swoją drugą połową czyli Ksawerą z Domaszewiczów swoją ślubną małżonką. Uświadomić do jakiego nieszczęścia może to doprowadzić. Wiedząc gdzie przebywa i przy odrobinie wyobraźni co ewentualnie w danej chwili może robić. Snuje najczarniejsze z czarnych myśli i ewentualne następstwa. Tak ustawia temat że to jest jej wina. Mamusia uspokaja łagodzi te pomysły, ale monolog trwa. Ponieważ to się odbywa w jednej izbie cała rodzina nie śpi. My z Lodzią i Welką wszystkie tatusiowe "proroctwa" kwitujemy półgłosem módl się za nami, zmiłuj się nad nami, zachowaj nas panie, odpuść nam nasze winy itp. Jeżeli nie reaguje na to, podnosimy nieco głos. Aż wreszcie radosne Bukieta szczekanie oznajmia przybycie całego, zdrowego, zadowolonego z pomysłu podróży najstarszego naszego brata i tatkowego syna. Wszystko staje się normalne, tylko wstajemy niewyspani i przystępujemy do normalnych zajęć, zamiast tylko święcić święto w kolejną niedzielę.

We właściwym czasie Lonek odbył 2-letnią służbę wojskową mając zaszczyt ochraniać granicę Polski. Jego dotychczasowe obowiązki w tym czasie spadły na nas, na młodszą generację. Po to hartowaliśmy się już wcześniej aby skutecznie go zastąpić. Przeszło to dość szybko. Po powrocie z wojska Lonek uzyskał pracę w majątku Kruhowicze na stanowisku objazdowego, przełożonego gajowych, w którym nasz ojciec aktualnie był gajowym. Stał się podwładnym własnego syna. Odbył kilkumiesięczny kurs o zakresie gospodarki i administracji leśnej, a więc fachowiec. Skomplikowana sytuacja międzynarodowa doprowadziła do wybuchu



wojny i utraty niepodległości przez Polskę. Pojawiły się nowe niespodzianki i konieczności uczestnictwa w egzystencji przetrwania o jakich nikomu się nie śniło. Trudno mówić o szkole, ale trzeba było wykorzystać dotychczasowe doświadczenia i przetrwać dla ojczyzny, rodziny i własnego dobra.

W międzyczasie wydorośleliśmy wszyscy, staliśmy się coraz bardziej współuczestnikami poprawy warunków bytowych. Mobilizowało do tego wprowadzenie się do pustych ścian bezdrzwiowego i bezokiennego domu gajówki Danusin, po przeprowadzce z Ławskich. Wiele poprawek i adaptacji doprowadziło do zupełnie znośnych warunków. Zakrzaczone w pobliżu domu bagienko stało się "synażacją Jarmalińskaho". Zwierzęta domowe odrodziły się jakościowo. Dorobiliśmy się wreszcie studni. Okazało się że to twór niedoskonały, a nawet całkiem chybiony. Radość więc była przedwczesna. Nadal zwierzęta domowe musieliśmy pędzić do wodopoju w Małych Kruhowiczach. Było to wielkie i uciążliwe utrudnienie - zwłaszcza zimową porą. Dzięki Lonkowi założyliśmy jednoulową pasiekę pszczelą, która rozrosła się do kilku uli. Najstarsza nasza siostra dyscyplinatorka i poskramiaczka młodszych latorośli, po wyjściu za mąż za Czesława przeistoczyła się w p. Taurogińską mieszkankę Jasieńca i w lutym 1940r urodziła pierwszą uroczą swoją córeczkę, którą mogliśmy poznać dopiero za sześć lat. Stała się też współposiadaczką pierwszego w okolicy odbiornika radiowego. Podczas nauki w Łoktyszach moja i Tosi droga jesienią i wiosną prowadziła przez Jasieniec (zimą mieszkaliśmy na kwaterze). Czasem więc wracając do domu wstępowaliśmy na krótki odpoczynek do szwagrowskiego domu. Niezapomniane są smaki jakimi nas zawsze gościła p. Taurogińska, Łódzki teściowa. Nie można bowiem zapomnieć smaku wędlin tam robionych na własny użytek, metodą stosowaną przez naszą Mamusię. I również niezapomniany epizod mnie krępujący. Pewnego popołudnia znaleźliśmy się tam, gdy powiatowy instruktor nauczał wyróżniających się miejscowych rolników metod prac rolnych i hodowlanych (zwykli rolnicy nie uczestniczyli bo "zawsze wiedzieli lepiej"). Niespodziewana moja wpadka, bo ze wszystkimi przywitałem się przez podanie ręki a za mną Tośka. Aż dziwne że potraktowano nas poważnie bez jakiegokolwiek gestu zdziwienia. Mniej dziwne byłoby "popędzenie łebkom kota". Tam po raz pierwszy usłyszałem o bardzo istotnej roli węglowodanów. Kto mógłby przypuścić wówczas, że wielu z wspomnianych tu uczestników znajdzie się na wspólnym miejscu wiecznego spoczynku nad Nysą w Pieńsku. Autor tych słów stał się absolwentem szkoły powszechnej w Łoktyszach. Lonek po odbyciu Kampanii Wrześniowej i ucieczce z niemieckiej niewoli wrócił do domu w listopadzie 1939 roku, już do "wyzwolonej Zachodniej Białorusi". Od 17 września 1939 roku nastąpiło tu wiele zmian. Najpierw istne szaleństwo budowania bram powitalnych Armii Czerwonej w każdej wsi. Dylemat polegał w którym końcu wsi (z której strony ona przybędzie). Wielu mieszkańców wydarzenie to kojarzyło z dawną Rosją a zatem wspólnotą językową i religijną. Dla ludności polskiej następowało odczucie zdrady narodowej, bo przecież nastąpił faktyczny rozbiór Polski jeszcze walczącej z agresorem - najeźdźcą. Zaczęli się pojawiać samozwańczy uświadamiacze niewiele więcej wiedzący jak faktycznie będzie. Charakterystyczne zachowanie się hancewickich Żydów, buta ich najbogatszej części (kupcy, sklepikarze, właściciele tartaków) od razu "zapomnieli" języka polskiego. Określenie Żyd uznali za obraźliwe, bo oni są Jewreje i należy ich tak nazywać. Biedniejsza ich część np. rzemieślnicy zachowali się poprawnie. Miejscowa ludność wywodząca się z kręgów biedniejszych zaczęła stosować metodę dzielenia się cudzą własnością zwłaszcza "pańską", ale nowa władza dość szybko wyperswadowała to. Mówiąc o Danusinie nie wolno zapomnieć o obowiązku adaptowania do uprawy wyznaczonej połaci ziemi jako należny gajowemu deputat. Po prostu trzeba było ją wykarczować, a o skali trudności tej pracy może coś mądrego powiedzieć tylko ktoś, kto ją praktycznie wykonywał. A o efektach jej można było coś powiedzieć dopiero na drugi rok, po zebraniu plonu. W sumie powstało spore poletko, które umożliwiała przy



pomyślnych warunkach zaopatrzenie rodziny w płody rolne i ogrodnicze. Wspomniana "łaka Jarmolińskiego" w znacznym stopniu zabezpieczała zimową karmę dla zwierząt domowych.

Przy tej okazji pragnę podkreślić rolę naszej nie zastąpionej w tych poczynaniach Mamusi, Jej nieskazitelnej sprawiedliwości w postępowaniu z ludźmi oraz z tak liczną gromadką wychowywanych dzieci. Ileż serdeczności i prostych dobrych rad uzyskiwalismy od niej na co dzień i na święta. Pamiętam Jej karcenie, gdy po stokroć na nie zasłużyliśmy, przypominające raczej głaskanie płócienną ścierką niż bicie. Nikt nie mógł zastąpić MAMUSI w rodzinie, którą jednoczyła. A ileż widziała i zawsze potrafiła wybaczyć bez urazu. To dzięki naszej MAMUSI, po wielkiej podróży i rozrzuceniu po szerokim świecie zebraliśmy się w Ojczyźnie oraz szczęśliwie dożyliśmy sędziwego wieku (z wyjątkiem Lonka zmarłego w sile wieku). Dla zilustrowania w skrócie i pokazania co faktycznie wykonywała taka nasza drobna i cichutka MAMUSIA. Niewiarygodne a jednak prawdziwe. Oto te najważniejsze, konkretne, systematycznie powtarzane obowiązki. Wychowanie do pełnoletniości pięciorga dzieci i wypuszczenie ich w szeroki świat do samodzielnej egzystencji. Oczywiście udział w uprawie i zbiorze płodów rolnych na użytek rodziny i zwierząt domowych. Wypada podkreślić zakres uprawy lnu od jego zasiania do produkcji materiału ubraniowego (pielęgnowanie jego wzrostu m.in. pielienie, zebranie, suszenie i leżakowanie na trawniku bądź moczenie w wodzie dla zgnojenia paździerzy, mędlenie na tarlicy, podzielenie na trzy kategorie ("kużel, zrebie, osmyczyny") asortymentu włókienniczego i przedzenie). Utkanie materiału na drewnianym warsztacie, a następnie zahartowanie jego m.in. przez "pobiclenie" w ciągu wielu dni (moczenie, suszenie i ubijanie specjalnym tłuczkiem ("pranik"). Następna faza to ręczne uszycie podstawowych "strojów" dla rodziny (w tym bielizny i "garderoby" roboczej). Podobny jest cykl przygotowania owczej wełny (zamiast bielienia jest filcowanie na gorąco). Znaczną rodzinę i niekiedy niesforną należało nakarmić (praktycznie trzykrotnie strawą gotowaną), oprząć i obłatać. Utrzymanie w względnej czystości domowników, mieszkania i podwórka. Noszenie wody z odległej studni z żurawiem. 2-3 krotne dojenie krów, okresowo 2-3 krotne karmienie cielątka, jakichś 1-3 świnek, kilka gęsi, kilkanaście kur, pies, kot itp. Sierpowe żniwa, sianokosy, wykopki ziemniaków, kiszenie ogórków i kapusty. Zagospodarowanie wyrobów po zabiciu wieprzka, wypiekanie chleba raz w tygodniu, bicie masła w bojce, robienie na prątkach rękawic i skarpet. W tym opisie uwzględniono warunki gajówki Wareniszczce. Interesujący byłby wynik eksperymentu, gdyby aktualnej pani domu (nawet niepracującej) przydzielono podobny zakres obowiązków.

Warto także odnotować temat przymusowych bądź dozwolonych podróży, jakie większości członkom naszej rodziny były dane do odbycia. Wielkie to były przejazdy zarówno w czasie jak i w przestrzeni. Pominę tu okoliczności towarzyszące ogólnie charakteryzujące sytuację jako głód, smród, nędza i ubóstwo. Powszechnie utarło się wśród "znawców" powiedzonko "w bydlęcych wagonach," mylące. Jest to jeden z nonsensów, bo do przewozu zwierząt wagony muszą mieć odpowiedni standard. Były to po prostu wagony towarowe, czasem dość prymitywnie adoptowane do przewozu osób. Do masowego przewozu milionów ludzi w czasie wojny, wystarczającej ilości wagonów osobowych nikt nie miał. Osobiście widziałem wiele transportów ewakuacyjnych, wojskowych dowożących jednostki na front i od frontu rannych żołnierzy, uczestniczyłem też w takim dojeździe do Polski po ukończeniu szkoły oficerskiej, łącznie z batalionem nowopromowanych polskich oficerów. Wszyscy ci podróżnicy z wyjątkiem ciężko rannych żołnierzy byli przewożeni wagonami towarowymi. Raz zdarzyło mi się dostrzec nietypowy pociąg ewakuacyjny złożony z poolmanowskich wagonów sypialnych jako: "pojezd priamoho soobszczenijsa" z Leningradu na wschód. No ale on przewoził pasażerów "wyższego sortu",



najbardziej zasłużonych i już na początku świata wybranych przez Najwyższego. Obywatele ci a zwłaszcza wypomadowane, woniejące pachnidłami barynie, którym niezwykle przeszkadzał marny 15 letni chłopak z kilkoma kilogramami wyfasowanego w Permie chleba dla naszego wagonu, skulony w przedsionku ich wagonu. Nie zdążyłem na wcześniej odesłany ze stacji nasz pociąg. Jakże różniły się one od tych leningradzkich dziewczyn, które wiozłem ze stacji kolejowej

Timor w Płd. Kazachstanie jako arbakiesz (woźnica) do Koktiube w 1943 roku już po odblokowaniu i wyzwoleniu Leningradu. Miały tam nieco odżywić się. W sukurs tego po wielu latach dowiedziałem się, że w byłym Związku Radzieckim istniał antysemityzm. Ten i inne ewentualne podobne transporty, które mogły widzieć inne osoby organizowano w ramach prześladowań (chyba?). Argument ten we właściwych okolicznościach oczywiście wykorzystałem. Można wyobrazić, ale to przekracza wyobraźnię, jak wyglądały stacje kolejowe. Przejście po nich bez utylłania się nie było możliwe. Np. dostać się do wc aby z niego skorzystać w kolejce i pod presją głośnego ponagłania i w bezpośrednim kontakcie kobiety, mężczyźni, staruszkowie i dzieci, wymagało cierpliwości i odporności psychicznej. To był niepowtarzalny koloryt oraz efekt hartu przetrwaniowego!!! Umożliwił przezwycięzenie kłopotów i w tym zakresie.

Po dobrnięciu do następnej (po wołogodzkiej oblasti) kolejnej przystani na pewien czas w końcu 1941 roku, zakotwiczyliśmy się w Płd. Kazachstanie (Jużnokazachstańska oblasć gorod Czimkient, czajanowskij rajon, tortkulskij sielsowiet,kołchoz Kok-tiube czyli "Zielone Wzgórze". Tu pierwsza rozłaka, po paru tygodniach Lonek został powołany z grupą mężczyzn podlegających obowiązkowi wojskowemu niebudzących wątpliwości, co do polskiego pochodzenia do Polskiej Armii. Znalazł się więc w punktach organizacyjnych WP Kara Bułak i Jangi Jul. O prawdziwej gehennie przeżytej w tych miejscach przez wielu przybyłych tam kandydatów na żołnierzy WP (w tym wielu tam pozostałych na wieki z powodu poprzedniego wycieńczenia, kalectw, odmrożeń i panującej epidemii), a także szczęśliwców - ozdrowieńców. M.in. dzięki bezwzględności w egzekwowaniu rygorów obowiązujących w lecznictwie z jednoczesnym wzmożonym odżywianiem się, ze strony bezpośrednich przełożonych. Opowiedział mi o tym Lonek, po jego powrocie do kraju po rozwiązaniu Samodzielnej Brygady Spadochronowej. Ważne że stosowane tam metody zdały egzamin praktyczny, Zwłaszcza najmłodszego narybku wojskowego. Przedtem jednak przeinstruował mnie w 1941 roku, gdy został zmobilizowany do WP. Wskazał że jestem dorastającym mężczyzną i powinienem czuć się odpowiedzialnym za rodziców i siostry. Że zdobyłem doświadczenie w trudnych warunkach i wspólnie z całą rodziną dacie sobie radę. Muszę przyznać, że taka opinia starszego brata bardzo mnie podniosła na duchu. Nigdy tego nie okazywałem, ale zawsze starałem się jego naśladować w rozwiązywaniu spraw najważniejszych. Bacznie obserwowałem jak mocno angażował się w sprawy społeczne wszystkich zesłańców. Bardzo angażował się w sprawy ludzkie. Umiał i rozwiązywał je wykorzystując swoje doświadczenie z wojska, z wojny obronnej 1939 roku, podczas zesłania "syberyjskiego" i w ponownej drodze do Polskiej Armii. Cieszył się wielkim uznaniem wśród osób starszych - był dwudziestokilkuletnim chłopakiem.